

Dnia 8 (21) Maja 1904 r.

WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Młodzieży i Dzieci
Z DODATKIEM POWIEŚCIOWYM.

Od Redakcyi.

Przed końcem bieżącego kwartału „Wieczory” niezależnie od „**Obrazów z literatury polskiej**” M. Dynowskiej, rozpoczną z rzeczy poważniejszych — druk dłuższej pracy znanego przyrodnika B. Dyakowskiego.

„Nasze rośliny uprawne”

z licznymi rysunkami.

Dowiedzą się z niej nasi czytelnicy, w najwłaściwszej porze wakacyjnej, wiele zajmujących i pożytecznych szczegó-

łów o roślinach, którym zawdzięczamy, główniejsze nasze pożywienie.

W dziale powieściowym p. S. „**Ch łyzwach**” nastąpi powieść podróżnicza „**Talizman**” (ilustr.) z przygodami w Nowej Zelandyi, Japonii, Chinach, Tybecie. W dodatku zaś książkowym — ostatni tom powieści ś. p. Waleryi Maréne-Morzkowskiej dla młodzieży „**Sewerka**.”



Kościół Kamedułów na Bielanach pod Warszawą. (str. 166).

POD MIKROSKOPEM.

WIECZORY U MEGO PRZYJACIELA.

Wieczór V.

Jeśli piwo, wino lub sok owocowy stoją długo i są w dodatku źle zakorkowane — mówił nazajutrz pan S. — wówczas psują się, czyli kwaśniejają, przyczem patrz, jak wyglądają!

I podniósł pod światło butelkę napełnioną skwaśniałym piwem, które miało mętny kolor, a na powierzchni jego ustał się jakiś biało-szarawy kożuch.

— Ten kożuch to jest właśnie gniazdo bakteryi, które wytwarzają w piwie kwas.

Pan S. odkorkował butelkę, przyczem przykry, kwaśny zapach rozszedł się po pokoju.

— Jaki to ostry zapach — zauważyłem — jak octu!

— Bo też ten kwas nazywa się octowym a bakterye, które go wytwarzają, noszą nazwę..

— Bakteryi kwasu octowego! Wszak zgadłem, nieprawdaż drogi panie?

— Zgadłeś, zgadłeś Karolku! Obejrzyj je sobie pod mikroskopem, już tam są przygotowane.

Były to rozmaitej długości łańcuszki połączonych z sobą krótkich pałeczek, w środku cokolwiek zwężonych.

— Wyglądają jak sznurki podłużnych pałeczek — zauważyłem.

— Bakterye te nie potrzebują do życia powietrza, a bez niego giną, dlatego w butelkach silnie zakorkowanych, w których do pełności piwo lub wino może stać długo, nie zepsucia. Jeżeli jednak pomiędzy korkiem a powierzchnią płynu znajduje się trochę powietrza, to drobne te istotki zaczną się zaraz rozwijać.

— A ja słyszałem parę dni temu, jak się mama skarżyła, że jej sok skwaśniał, chociaż był silnie zakorkowany.

— Bo widzisz, mój chłopcze, zwyczajny korek nie zabezpiecza soku od przedostania się powietrza do wnętrza butelki. W korku są drobne dziureczki, przez które powietrze przedostaje się powoli do środka.

— Te bakterye są szkodliwe — zauważyłem — tamte w mleku i drożdżach pomagały ludziom w pracy, a te psują robotę człowieka, prawda panie?

— Nie zawsze, Karolku. O ile dostaną się niepotrzebnie do piwa, wina lub soku owocowego, to są naturalnie szkodliwe i platają ludziom psoty. Niekiedy jednak one oddają nam ważne usługi. Potrafisz pewnie odgadnąć, kiedy się to dzieje, samo ich nazwisko ci w tem dopomoże.

— Może przy wyrobie octu — rzekłem nieśmiało, po chwilowym namyśle.

— Naturalnie, przy wyrobie octu są one konieczne, wytwarzają bowiem ów kwas octowy, nadający temu płynowi właściwy zapach i smak.

— A z czego robi się ocet? — zagadnąłem.

— Można zrobić ocet w domu z wina lub soku owocowego i nie potrzeba się przytem napracować! Pozwalamy tylko bakterjom przedostać się do butelki, poczem one już sobie tam same radzić będą.

Koniec ich jednak jest smutny, gdyż znaczna ilość kwasu octowego zabija biedne bakterye — własna ich praca niszczy je.

— To tak, jak z bakteriami w mleku — wtrąciłem.

— Oprócz takiego domowego sposobu robienia octu, wyrabiają też ocet w fabrykach. Tam przyrządzają go ze spirytusu, przyczem te same bakterye, które tu widzisz, przerabiają spirytus na ocet. Muszę ci jednak dodać, że nieraz dostają się do spirytusu inne jeszcze gatunki bakteryi, które psują robotę naszym sprzymierzeńcom i przeszkadzają im. To samo zdarza się i przy wyrobie piwa, że pracę drożdży psują inne bakterye. Dlatego fabrykanci muszą się długo uczyć, aby zapoznać się z bakteriami i odróżnić swych drobnutkich pomocników od równie drobnych wrogów, pierwszym ułatwić pracę, drugim zabronąć przystępu.

— Karolku, proszę na kolacyę — zawołał w progu służący, otwierając drzwi od mieszkania pana S. — Państwo już siedzą przy stole.

— O, jaka szkoda — wykrzyknąłem z żalem — tak krótko dzisiaj rozmawialiśmy!

— Powiedziałem ci już wszystko o bakterjach octowych, więc do widzenia mój chłopcze, do jutra!

M. L.

PSIE POLE.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA DLA MŁODZIEŻY

przez

Włodzimierza Trąpczyńskiego.

(Dalszy ciąg).

Tak mi przykazano — odrzekł Dzierzko poważnie — nie moją rzeczą być sędzią, słuchać tylko mi wolno i spełniać rozkazy.

— Są rozkazy, których spełnić nie może chrześcijanin, a ty przecie chrześcijaninem jesteś — zapalając się, zawołał starosta. — Mordować niewinnych to zwyczaj zbójcecki, nie rycerzowi przystało broczyć ręce we krwi ofiar.

— Jeżeli poleje się krew niewinna, to nie moja w tem będzie wina, jam tylko narzędzie — upierał się młody.

— Słuchaj Dzierzek! Wiem z jakiego gniazda ród swój wywodziysz, znam rodzica twojego i na tę pamięć przyjaźni naszej zaklinam cię: nie postępuj okrutnie. Wybadaj najpierw, przekonaj się, jak było, a potem dopiero sądz sprawiedliwie.

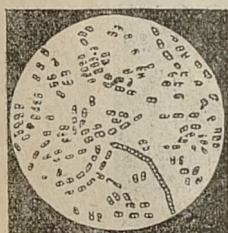
Przemowa starosty wpłynęła na Dzierzka, widąc też było, że się waha, bo oczy spuścił ku ziemi, a wąsy podkręcał, wahanie to jednak trwało krótko. Młody rycerz wyprostował się, głowę podniósł do góry, a wzruszywszy ramionami na znak zaprzeczenia, rzekł ponuro:

— Wojewoda kazał, wolę jego spełnić muszę, niechaj na niego spadnie krew, która się tu przeleje.

Starosta należał do ludzi popędliwych, znany też był szeroko z tego, że kiedy był dobry, to do rany go przyłóż, ale gdy popadł w gniew, to chowaj się do ostatniego kąta! Ale teraz starosta pohamował się jeszcze.

— Dotąd mówiłem z tobą, mój Dzierzku, jak przyjaciel rodzica twojego, nie radzę ci jednak czekać, aż przemówię inaczej.

— Co to ma znaczyć? — dumnie zapytał Dzierzek i błysnął oczami.



Bakterye kwasu octowego.

— To ma znaczyć, że krew się nie poleje, a Natan całą uniesie głowę i jeszcze nagrodę otrzyma od króla i władcy naszego.

— Ciekawy jestem, kto się ośmieli stanąć na mojej drodze jako wykonawcy woli wojewódzkiej?

— Ja się ośmielę! — krzyknął starosta — aż szyby zadrżały od mocy tego głosu.

Dzierzko uśmiechnął się pogardliwie i zmierzył od stóp do głów tego niewysokiego, chudego człowieka, który w tej chwili hardo chciał stawić czoło wszechpotężnemu Sieciechowi.

— Nie wierzysz? — syknął starosta — a jednak mówię ci wyraźnie, że prędzej głowę rozbijesz sobie o mur domu Natanowego, aniżeli dokonasz zamiaru. Tu w Gostyniu i przy tej Świętej Górze ja rządzę, tu się rozpoczyna władza starościńska, a biada każdemu, kto by się śmiał targnąć na tę władzę. W puch zetnę tego śmiałka, a bądź pewny, że na jedno skinienie moje nie kilkunastu najemników z mieczkami w rękę, ale wszyscy mieszkańcy jak jeden mąż staną przy moim boku. Nie radzę ci ważyć się na takie przedsięwzięcie.

— A więc dobrze — zawołał Dzierzek — zginę, dam się zasiekać, ludzi swoich pozwolę wyrznąć w pień, a wolę Sieciecha spełnić.

Starosta na razie nie odrzekł nic, dużemi krokami przechadzał się zaczął po komnacie, sapał, mruzczał coś pod nosem, targał wąsa, a po całym zachowaniu widać było, że krew wzbudzona uspakając się zaczęła, umysł zaś pracował nad wynalezieniem środka, któryby poskromił zadzierzystość młodego Dzierzka. Wreszcie starosta zatrzymał się, uśmiechnął, rękę prawą położył na ramieniu rycerza i rzekł:

— W gniewie padają nieraz ostre i niepotrzebne wyrazy, przynajmniej te, że uchybiłem obowiązkom gościnności. Ty, Dzierzku, w tej chwili gościem jesteś moim, a przybyłeś zdrożony i zapewne głodny. Zanim przeto omówimy tę sprawę, zaprowadzę do lepszej izby, gdzie żona i córki zapewne już pobudzone, czekają ze śniadaniem.

Dzierzko nie chciał zrazu przyjąć zaproszenia, trudno jednak było się oprzeć, zwłaszcza, że gościnnie starosta, zwoławszy sługi, równocześnie wydał polecenie nakarmienia orszaku przybyłego.

W komnacie przyległej zastał młodzieniec starościny, kobietę żywą, ruchliwą, a tak łagodną i tak serdeczną, że jemu, sjęrącie bez ojca i matki, który jak przez mgłę przypominał sobie pieszczoty rodzicielskie, zdawało się, że pozyskał nowy dom gdzie czuć się będzie swobodnym pod skrzydłami opiekuńczemi matrony.

Wejściem córki domu Dzierzek olśniony został do reszty, z jednej strony oblało go ciepło rodzinne, z drugiej wzbudziła zachwyt starościanka. Podobna do matki była Brydzia nadobna, jeno, że krasę miała świeższą, postać powiewną, ruchy swobodniejsze, oczy tryskające jeszcze życiem, a cerę niby mleko z krwią, lekko pomieszaną.

Dzierzek roztajał w tem otoczeniu. Jakżeby on pod wpływem dobroci starościny i tych pięknych, z czułością pewną i serdecznością spoglądających nań oczu starościanki Brygidy, nie miał spełnić życzeń władcy Gostynia i Świętej Góry! Przez głowę Dzierzka przebiegła też myśl, że jeżeli ci ludzie tacy dla niego szczerzy, tacy gościnni, biorą w obronę jakiegoś tam Judy, to chyba ów Natan nie może być człowiekiem wyzutym z czci i wiary.

Dzierzek wiedział, że wojewoda Sieciech człowiekiem jest popędliwym, a od starego Wincza, którego považał wysoko, słyszał o niejednej sprawie haniebnej i o niejednym czynie gwałtu nad niewinnymi. Inaczej przeto zaczął teraz patrzeć na rzeczy.

A nuż wstrętny Stonóg wystąpił z oskarżeniem nie stwierdzonem, a nuż zausznik Sieciecha pała zemstą do Judy!

Starosta, jak gdyby zapomniawszy zupełnie o przygodzie i przeprawie, serdecznie zajął się Dzierzkiem, pomny zasady lechickiej: „Gość w dom, Bóg w dom.” Nie żałowano też grzanej polewki winnej dla dowódcy oddziału, ani kołaczów wypiekanych na mleku, ani wreszcie miódów sytnych, tłuszczu maślanego, śliw z anyżkiem i wszelakiego rodzaju smakowitości, przygotowanych przez skrzętną i zabiegliwą starościny. Dla drużyny Dzierzkowej sama starościanka przygotowała poczęstunek obfity i własną, drobną rączką swoją rozlewała z wielkiego dzbanu napoje, dwie służące zaś roznosiły dymiące potrawami mącznymi misy kamienne.

— Ostawcie Judy w spokoju — mówiła miłowana przez wszystkich domowników panna Brygida — biedak on, nieszczęśliwy wygnaniec, który u nas znalazł przytułek.

Jeden z orszaku, ośmielony łagodnością starościanki, ośmielił się wtrącić:

— Daj nam Boże, ażeby wszyscy takimi byli biedakami, toć domostwo jego niby forteca warowna, a w piwnicach i składach to pono takie skarby się mieszczą, że oczy ślepną na sam widok tych dziwów przeróżnych.

Starościanka spojrzała na mówiącego wymownie, a tak boleśnie, że aż tajało serce i śmiałek zaczerwienił się po uszy, a po chwili, spuszczaając oczy w ziemię, dodał:

— Juścić to pana Dzierzka sprawa, a nie nasza. Każe — pójdziemy na Judy i kamień nie pozostanie na kamieniu; powie, ażeby poniechać mordu — to cofniemy się i nikt tu po nas płakać nie będzie.

— Za panem Dzierzkiem pójdziemy w piekło — zawołał inny z orszaku, a inny jeszcze przywódtwo:

— Taki rycerz, jak nasz Dzierzek to i Brandeburum straszny, a nie daj Chryste, ażeby mu się kto pod rękę nawinął, gdy w zapalczywości swojej ruszy z mieczem na wroga.

Starościanka miłym okiem rzuciła na przywiązanych do swego dowódcy mężów uzbrojonych i tem więcej jeszcze gościła wszystkich.

A tymczasem w izbie starosta ze starościna zabawiali gościa rozmową, to zgrabnie wypytyując o wypadki najświeższe, to znów wyciągając Dzierzka na słówka, ażeby im opowiadał o wjeździe króla Władysława Hermana, to wreszcie domagając się opisu szatek królowej Judyty, strojów i postawy Bolka, wyglądu groźnego wojewody. Dzierzkowi ciężko było, że starościanka długo bawi na podwórzu, podziękowawszy też grzecznie, jak na statecznego i w wolności żyjącego młodziana przystało, ruszył się po izbie, przeszedł się ku oknu i rzucił spojrzenie na dziedziniec.

Starościanka Brydzia nie wracała długo, Dzierzek przeto, poprawiwszy odzienie, strzepnąwszy je z lekka, przystąpił do pani starościny, a całując pokornie wyciągniętą ku niemu rękę, rzekł:

— Komu w drogę, temu czas. Bogiem się świadcę, że do końca życia trwałem o domu jegomościów zachowam wspomnienie, a jeżeli czas i ochota pozwoli, to uprzejmie proszę, ażebyście miłośni moi, zajrzeli do Kruszwicy, skąd już blisko pod Inowrocław, kędy swoją dżierzę krainę.

(d. c. n.)





(Dalszy ciąg).

Kiedy Piotr ich dogonił, przyjęli go jednogłośnie wymówkami:

— Myśleliśmy, że dzięki tobie do jutra nasz powrót trzeba będzie odłożyć.

— Oho! taka niesubordynacya! — zaśmiał się Piotr. — Ja z całą chęcią złożę dowództwo w zdolniejsze od moich ręce. Komu oddać mam kasę, jedynę godło mej władzy?

Karol byłby chętnie zastąpił Piotra. Nie mógł wszakże nawet wyjawiać tej chęci, bo koledzy wydali znów okrzyk na cześć kapitana i o jego dymisyi wcale nie myśleli.

— Wolna wola — odezwał się wódz; — wyobraźmy sobie, że nadszedł dzień wielkich wyścigów. Kto wszystkich prześcignie, ten będzie kapitanem.

Puścili się w drogę; rzekłbyś, sześciu uskrzydłonych Merkurey sunie po lodzie. Naprzód pochyleni, z błyszczącymi oczami, mknęli tak szybko, że poważni łyżwiarze, a nawet strażnicy kanału rzucali im ostrzeżenie „wolniej”, lecz strzała raz wypuszczona, zatrzymuje się tylko wtedy, kiedy pada.

To też Poot o mały włos nie zmierzył swej długości na lodzie, za jego przykładem poszedł Ludwik, potem Karol, a nawet zręczny Lambert. Przystanęli, aby odetchnąć swobodniej.

— Ci dwaj nie zatrzymają się nigdy — zawołał Lambert, wskazując na Bena i Piotra. — Mają nadzwyczajne płuca doprawdy!

— Ścigają się — zauważył Karol. — Który też zwycięży?

— Ben jest pierwszy!

— Nie, Piotr go wyprzedza!

— Mylisz się...

— Suną w jednej linii.

— Za wielką odległość dzieli nas od nich, trudno dojrzeć, kto na czele...

Pomimo odległości, wkrótce z łatwością spostrzegli, że Piotr wysunął się naprzód i na zakręcie kanału stanął.

— Niech żyje kapitan! Górą Hollandya.

Z temi okrzykami puścili się ku zwycięzcy.

Ben z podziwem patrzył na swego współzawodnika.

— Jesteś istnym ptakiem lodów, Piotrze van Holp — rzekł do niego —

jesteś, wierząc mi, pierwszym współzawodnikiem, który mnie w biegu zwyciężył.

Słowa te wypowiedziane były po angielsku, Piotr mowę tę rozumiał, ale na razie czy tchu mu zabrakło, czy też słów odpowiedzi nie znalazł w obcym mu języku, dość, że skłonił się tylko Benowi.

— Kuzynie — wołał Poot — czerwony jesteś jak burak. Te wyścigi mogą ci zaszkodzić.

— Nie lękaj się o mnie — odparł Ben — mroźne powietrze ochłodzi mnie; nie jestem wcale zmęczony.

— Ale pobili cię — odezwał się Lambert. — Ciekawy jestem, kto wygra w dzień wyścigów.

Ben zaczerwienił się więcej jeszcze i rzekł to-nem dość wyzywającym:

— Dzisiejszy wyścig był tylko zabawką. W dzień wielkich wyścigów, pamiętajcie o tem, *postanowiłem* zwyciężyć.

— I my także — odezwał się Piotr. — Każdy zrobi, co w jego mocy, aby zwyciężyć. Nieprawdaż Karolu.

— Rozumie się!

Dzień był dość wietrzny od rana ale teraz wiatr wzmógł się tak silnie, że Piotr zapytał kolegów, czy będą mogli dalej łyżwować.

— Spróbujmy! — poradził Ben.

— Ależ łyżwujemy dalej, cóż nam wiatr szkodzi — upierał się Karol.

Spróbowali i wkrótce przystanęli. Mroźny wichur niby ostrze stalowe wdierał się do gardła, tamował oddech.

Karol chciał jednakże biedz dalej.

— Trzeba zapytać najsłabszych a nie najsilniejszych o zdanie — mówił kapitan.

Zdania chłopców były podzielone, lecz nagle pęd wichury tak silnie w nich uderzył, że nawet Karol zachwiał się a Ludwik upadł.

— Kwestya rozstrzygnięta — rzekł kapitan. — Zrzućmy łyżwy i chodźmy do tej wioski. Może znajdziemy jaką oberżę i chwilowe schronienie.

W pobliżkiej wiosce znaleźli nietylko oberżę, ale także spore podwórze cegłą wyłożone a na niem kręgle. Czekał na obiad zamówiony u oberżysty, z zapalem rzucili się do gry w kręgle. Teraz Poot okrył się chwałą; zwyciężał w każdej partyi. Ale był to zwycięzca pełen skromności.

— Patrzcie na moje ramiona — mówił, pokazując ich wspaniale rozrośnięte mięśnie; cóż dziwnego, że silniejszy jestem od was.

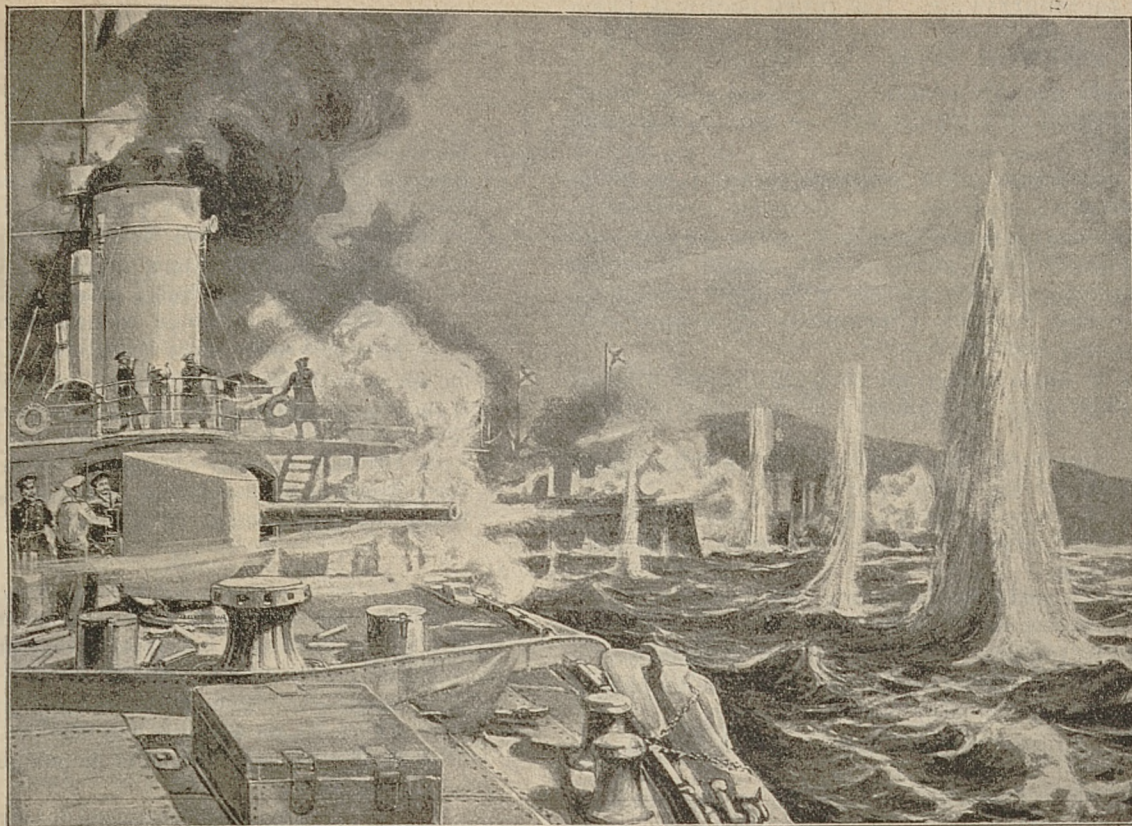
Wichura całe gro-
no zatrzymała w mieście przez dzień cały, to też przenocowali w oberży. Nazajutrz po spożyciu śniadania z apetytem, który najgłębszy podziw wzbudził w oberżyscie, wyruszyli dalej.

Wiatr ustał i wkrótce dobiegli do Lejdy.

Tutaj Piotr znów pośpieszył do hotelu pod Wielkim Orłem, by zasięgnąć



Japonka na spacerze.



W czasie bitwy morskiej pod portem Artura: na krążowniku „Nowik.” (Według rys. ang.)

wiadomości o doktorze Bockmanie. Właściciel hotelu oznajmił mu, że sława Holandyi list jego przeczytała. „Biedni ludzie” miał powiedzieć doktor. Nadzwyczajny wypadek! może uda mi się wyleczyć tego biedaka.”

Dnia tego kanał był dość pusty. Dopiero koło Amsterdamu chłopcy spotkali się z tłumem. Olbrzymi „ysbreker”, przyrząd do rąbania lodu, czynnym był dzisiaj po raz pierwszy, zostawiono jednak dużo miejsca wolnego dla łyżwiarzy.

— Niech żyje dom! Niech żyje ognisko rodzinne — wołał Lambert.

Odpowiedziano mu trzykrotnem „wiwat”.

Krzycząc tak całą piersią, przebiegali ulicę Amsterdamu, a każdy przechodzień przystawał, oszołomiony tą wesołą wrzawą.

Lambert najpierwszy pożegnał towarzyszy.

— Jutro wracamy do szkoły — przypominał mu Ludwik.

— Wiem o tem. Wakacje przeszły nam znakomicie, i praca teraz dobrze pójdzie.

Młódzież mnóstwo znajomych spotkała na kanale. Oprócz kolegów, powitali także Hildę, Reginę i Kasję.

Miedzy łyżwiarzami snuła się mała Anna Bowman. Babka jej była chora, dziewczynka nie miała więc czasu pobiedz do swych przyjaciół Brinke-ów. Sądziła, że zobaczy się może z nimi na kanale. Ale nie dojrzała ani Janka, ani Hani.

XVI.

Co działo się przez ten czas w chacie Brinkerów.

Cztery dni upłynęło od chwili, w której zostawiliśmy matkę i córkę przy chorym i zdawaćby się mogło, że nie ruszyły się z miejsca przez te długie

godziny. Rafał Brinker leży blady; gorączka go opuszczała, lecz nie wróciła przytomność, nie wie, co dzieje się koło niego.

Wszakże promień nadziei tu zawitał; oto w kącie izby najbardziej od łóżka chorego oddalonym, doktor Bockman mówi coś nakazująco do swego asystenta. Janek stoi przy oknie, oczekując decyzji lekarza.

— Widzisz — mówi doktor do swego towarzysza. — Oto ciekawy przykład...

Tu użył słów łacińskich, a potem chociaż do mowy ojczystej wrócił, Janek zrozumieć go nie mógł. Z kilku zdań domyślił się wszakże, że należy zrobić operację.

— Czy tamten chory wyzdrowiał? — spytał asystent.

Bockman brwi zmarszczył.

— Mniejsza o to, ale operacja udała się wspaniale. I tutaj operację zastosować musimy.

Znowu zaczął używać łaciny i mówił z zapalem bardzo długo.

— Panie doktorze — odezwał się nieśmiało asystent — mamy jeszcze wiele do roboty dzisiaj; mamy odjąć nogę w Amsterdamie, uratować oko w Brock i złożyć złamaną rękę w domu nad kanałem.

— Co to wszystko znaczy w obec tak nadzwyczajnego wypadku — burknął doktor. — O tym biedaku najpierw pomyśleć musimy. On najdawniej cierpi.

— Pan doktor sądzi, że będzie go można uratować?

— Niewątpliwie, niewątpliwie! — zapalił się chirurg. — To jest — dodał po chwili — mam nadzieję, że go uratuję.

— W całej Holandyi pan jeden to potrafi — odparł asystent.

Doktor zachmurzył się. Nie znośli pochwał, przywołał Janka. Ten dziwny człowiek nie chciał nigdy rozmawiać z kobietami, kiedy chodziło o operację.

— Kobieta zacznie płakać i wyrywać sobie włosy na widok narzędzi chirurgicznych — mówił, wzruszając ramionami.

Janek słuchając słów doktora, bladł i czerwieniał naprzemiennie.

— Ta operacja może zabić ojca? — wyszeptał.

— Uratować albo zabić — tak, moje dziecko! ale mam nadzieję, że uda mi się wyleczyć twego ojca. Ach! ludzie, ludzie! Gdy posłyszają o operacji, zaraz pytają, czy się uda?

— Ależ w odpowiedzi na to pytanie jest dla nas śmierć lub zbawienie — odważył się przemówić dzielny chłopiec.

Doktor popatrzał na Janka, jak gdyby miał ochotę uśmiechnąć się do niego.

— Masz słuszość, chłopcze, sam nie wiem, co mówię. Pamiętaj więc, że tylko operacja może uratować twego ojca.

— I zaraz wyzdrowieje, panie doktorze?

— Zaraz, zaraz, może jutro, może później — odparł Bockman niecierpliwie. — Pomów teraz z matką.

Janek podszedł do matki i Hani. Nie mógł znieść przerażonego wzroku siostry i spuścił oczy.

— Haniu, odejdz proszę, chcę z matką samą pomówić.

Dziewczynka spojrzała na niego z oburzeniem, ale wyszła z pokoju.

Stanęli przy oknie. Pani Brinker nie płakała, tylko usta jej poruszały się czasem, słuchała z natężoną uwagą słów syna. Raz tylko krótkie łkanie wyrwało się z jej piersi, Hania dosłyszała je stojąc za drzwiami, ale potem znów było cicho.

Po chwili Janek przywołał siostrę. Matka klęczała przy łóżku chorego, dziewczynka poszła za jej przykładem. Janek stał z głową spuszczoną.

Pani Brinker wzniosła oczy w górę, oddając się Bogu w opiekę. Niech stanie się według jego świętej woli. Doktor delikatnie dotykał głowy chorego, oglądał ją jak złotnik ogląda klejnot kosztowny.

Wreszcie matka wstała z klęczek.

— Zgoda na operację? — zapytał krótko doktor.

Pani Brinker długą chwilę milczała. Janek objął matkę ramieniem.

— Doktor czeka na odpowiedź — szepnął.

— Co czynić, mój Boże, co postanowić? — jęknęła.

Po chwili stanowczym ruchem podniosła głowę.

— Dobrze, panie doktorze,

— Hm! — mruknął Bockman, jak gdyby chciał powiedzieć, że sporo czasu potrzebowała do namysłu.

Potem zaczął wydawać jakieś rozporządzenia swemu asystentowi.

Przez ten czas Hania patrzyła po obecnych przestraszonym wzrokiem i milczała, ale kiedy zobaczyła, że doktor wyjmuje z pudła jakieś błyszczące stalowe noże...

— Mamo! — zawołała na cały głos — chcę zabić ojca!

— Wyjdźcie stąd — odezwał się surowo doktor — chłopiec niech zostanie.

Ale pani Brinker stawiała czoło groźnej sławie Holandyi.

— Panie, ja tu zostanę — odparła tak stanowczo, że Bockman spojrzał na nią zdziwiony.

(d. c. n.)

SONETY. *)

Siostrzeniczce swej Janince G. poświęcam.

Niosę balon dla mojej siostrzenicy malej;
Barwny krąg się w mej ręce miotą niecierpliwie —
Czy on wie, kogo wkrótce przezeń uszczęśliwię,
Jakie śliczne oczęta będą się doń śmiały?

Szybko dążę do domu, niosąc dar wspaniały.
Znajomi czasem stają i patrzą w podziwie,
Niektórzy uśmiechają się nawet złośliwie,
Lecz cóż mnie teraz może obchodzić świat cały?

Ja wiem, że niosę szczęście — i serce mi bije
Z radości — widzę chwilę ową upragnioną;
Gdy zachwytem niebiańskim oczęta zapłoną,
A dr. bniutkie rączyny obejmą mi szyję.
Więc krokiem niecierpliwym pędzę po ulicy,
Niosąc balon dla mojej malej siostrzenicy.

II.

Umiem z moja pieśczętką spędzać długie chwile,
Słuchając jej szezebiotu, patrząc w modre oczy,
W których głębi jest inny jakiś świat uroczy,
Kryjący tyle dziwów i tajemnic tyle.

Bawimy się wybornie — czas upływa inile,
Ze ożęsto na zabawie wieczór nas zaskoczy,
Za chwileczkę już niania do pokoju wkroczy;
Czas spać!...

Gdy nad łódeczkiem jeszcze się pochylę,
By ostatni raz w modre jej spojrzeć oczęta,
Maleńka się uśmiecha i o bajkę prosi:
Więc idą historyjki o Janku, o Zosi —
Aż dziewczynka zasypia, słodko uśmiechnięta.
Wtedy lekko, leciutko całuję ją w czoło:
Śpij spokojnie, dziecino, śpij — i śnij wesoło!

A. Halpern.

Kościół na Bielanych.

Któż z czytelników „Wieczorów” nie słyszał o Bielanych, o tem tradycyjnem miejscu wycieczek Warszawian, którzy, zwłaszcza w Zielone Świątki, gromadnie tam napływają, jedni dla zabawy w miłym lesie nad Wisłą, wśród którego klasztor stoi, inni dla pomodlenia się, gdyż w drugi dzień Zielonych Świątek przypada odpust w tutejszym kościele.

Nazwa tej miejscowości pochodzi od tego, że w dawnej Polsce bielanami nazywano Kamedułów jako zakonników, chodzących w bieli, a stąd nazwa ta przeszła i na ich pustelnicze klasztory, założone najprzód pod Krakowem a następnie pod Warszawą.

Stałe pielgrzymki Warszawian na Bielany datują się od czasów Jana Kazimierza, kiedy ten król darował zakonnikom obraz św. Bonifacego i następnie wyjednał bullę papieską dla Bielanych na odpust doroczny.

Uroczystości i zabawy bielańskie, wielokrotnie opisywane były prozą i wierszem; między innymi na podstawie dawnych opisów znany poeta Kazimierz Julian Jasiński odtworzył piękny obraz Zielonych

*) Sonet jest to utwór poetycki, składający się z 2-cho strof 4-ro wierszowych o dwóch rymach 2 strof 3 wierszowych. Formę tę wprowadził słynny średniowieczny poeta włoski Petrarka.

Świątek na Bielanych w roku 1822 im. Przytaczamy z tego utworu dwa następujące urywki:

Ślubowi Wazy, sercu Korybuta
Winna dzisiejszy byt swój dwuwiekowy,
Wpatrzona w niebo, w gaj leśny osnuta,
Witaj świątynko na Górze Polkowej.

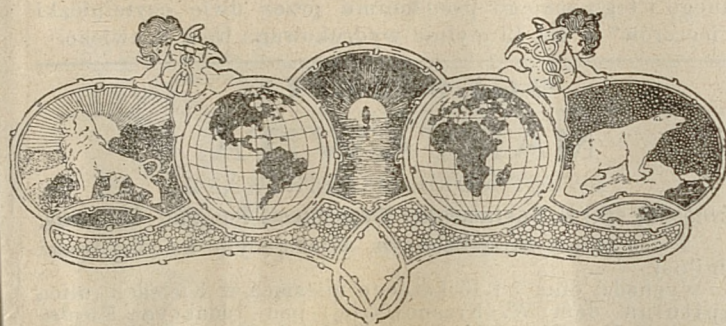
Ściany twe zdobne pędzlem Smuglewicza,
W matki i syna drogich prochów szczątek,
W potężnych władców surowe oblicza,
Zakipią życiem w dzień Zielonych Świątek.

O obu traktach, w kształt olbrzymich węży,
Jezdnych i pieszych fale się rozlały,
A na berlinkach aż żagiel się przeży,
Aż skrzypią wiosła, burkoczą szpandaly.

* * *

Dawnych zwyczajów dobrzy ludzie strzegą,
Co rok Warszawa odwiedza Bielany,
A Staszic drzemie snem sprawiedliwego,
Oparliży skronie o kościółka ściany...

Jako objaśnienie do powyższych strof dodać musimy, że świątynia bielańska posiada piękne obrazy jednego z lepszych malarzy polskich, Smuglewicza, oraz, że w niej znajdują się serca Michała Korybuta i ks. Gryzeldy Wiśniowieckiej, a na cmentarzu tuż przy kościele spoczywają zwłoki szlachetnego filantropa naszego Stanisława Staszica.



ZE SWIATA.

Sp. Władysław Folkierski.

W ostatnich dniach kwietnia na cmentarzu zakopiańskim pochowano zwłoki największego matematyka polskiego Władysława Folkierskiego.

Urodzony w roku 1842-im, gimnazjum ukończył w Warszawie, a nauki wyższe pobierał na politechnice w Karlsruhe w szkole dróg i mostów w Paryżu. Tutaj dzięki swym pracom naukowym został powołany na stanowisko sekretarza, następnie wiceprezesa Towarzystwa nauk ścisłych i jednocześnie był redaktorem *Pamiętnika*, wydawanego przez Towarzystwo.

Za zasługi, oddane Francji w czasie wojny francusko-niemieckiej, otrzymał w r. 1871 legię honorową.

W roku 1873 rząd Peruwiański (Południowa Ameryka) z powodu rozgłosu, jakim się cieszyło imię naszego uczzonego, powołał go na kontrolera robót publicznych i budowy dróg żelaznych. Na stanowisku tem odznaczył się chlubnie budową drogi żelaznej przez Andy, na wysokości 4000 metrów nad poziomem morza.

Wkrótce uniwersytet w Limie mianował go doktorem honorowym nauk matematycznych i powierzył mu katedrę mechaniki. W r. 1888 Folkierski jednogłośnie został obrany dziekanem wydziału matematyczno-fizycznego uniwersytetu w Limie. Podczas wojny Peru z Chili zajmował się ufortyfikowaniem stolicy peruwiańskiej Limy i portu Callao, a po zakończeniu wojny został dyrektorem kolei południowych, łączących ocean Spokojny z jeziorem Titikaka i z miastem Kasco, stolicą dawną Inkasów.

Po wieloletniej i owocnej działalności na drugiej półkuli, powrócił Folkierski do kraju dopiero w roku 1889-ym i osiadł na stałe w Galicji, nie przerywając ani na chwilę swej pracy zarówno w kierunku praktycznym jak i naukowym, w dziedzinie literatury matematycznej i technicznej.

Oprócz wielu broszur i pism w zakresie fizyki i inżynierii, Folkierski wydał pomnikowe dzieło p. t. „Zasady rachunku różniczkowego i całkowego” (2 tomy), zawierające wykład wyższej matematyki.

Przy opracowaniu właśnie drugiego wydania tego dzieła śmierć go zaskoczyła. Był to człowiek światły i rozumny, odznaczał się charakterem czystym i nieskazitelny. Miłował dobro kraju, rozumiał jego potrzeby, a zajmując na obczyźnie wysokie stanowiska, wszędzie rozstawiał imię polskie nie tylko swą wiedzą, ale i osobistymi przysługami.

Ilość pocztówek. Korespondencyjne karty pocztowe rozchodzą się po świecie w niezmiernych ilościach. Pojęcie o tem dają sprawozdania poczt w różnych państwach: w Anglii na przykład w ciągu roku 1903-go przeszło przez pocztę 14 milionów pocztówek, które gdyby ułożono jedna obok drugiej, to utworzyłyby pas papierowy 990 mil angielskich długości.

W Niemczech w ciągu roku poczta rozesłała 136 milionów, we Francji 20 milionów, w Austro-Węgrzech 31 milionów, a we Włoszech 27 milionów. Ogólna ilość pocztówek w całym świecie według przypuszczalnych obliczeń wynosi około 360 milionów. Jeżeli wartość każdej pocztówki z marką przyjmujemy tylko na 5 kopiejek, to suma wydawana w ciągu roku na korespondencję pocztówkową wyniesie okragle 18 milionów rubli.

Pocztówka średnio ma ćwierć milimetra grubości, gdyby więc te całe 360 milionów pocztówek ułożono jedna na drugiej, to powstałaby olbrzymia wieża wysokości 90 kilometrów czyli przeszło 7 mil.

Ciekawy byłby widok z wierzchołka takiej wieży, gdyby tak można było ją ustawić i następnie dostać się jakim sposobem na szczyt. Ciężkaby to była sprawa, bo nawet pocisk armatni, który pędzi z szybkością 500 metrów na sekundę, mógłby dolecieć zaledwie po upływie 180 sekund, czyli trzech minut, o ile w ogóle mógłby dolecieć.

LAMIGŁÓWKA KRATKOWA.

ul. St. W. z Odesy dla Wacia i Jurka.

A	1	*	*	*	*	*
B	*	2	*	*	*	*
C	*	*	3	*	*	*
D	*	*	*	4	*	*
E	*	*	*	*	5	*
F	*	*	*	*	*	6

W sześciu rzędach oznaczonych literami A, B, C, D, E, F, na miejsce liczb i gwiazdek należy postawić litery w ten sposób, aby głoski stojące na miejscu liczb utworzyły nazwisko zdobywcy Meksyku.

Znaczenie wyrazów: 1) Legendowy książę. 2) Słynny odkrywca nowego lądu. 3) Król węgierski. 4) Miasto w północnej Ameryce. 5) Gatunek piwa. 6) Mieszkaniec środkowej Azji.

ZAGADKA REBUSOWA.

podała Basia.

Nie rzeka — jednak rzeka,
Kto chce niechaj docieka,
Albo rozwiązania czeka...

ROZWIĄZANIA DO N-ru 18-go.

Zagadek wprost i wspak: 1) Ara. 2) Sąd — das.
3) Morg — grom. 4) Kara — arak. 5) Targ — grat.

Rebusu: Samos (nazwa wyspy).

Odpowiedzi Redakcyi.

Czarnemu Orłowi z gub. Płock. Bądź łaskaw po-
fatygować się po brakujące dodatki wprost do Redakcyi „Wie-
czorów” Mazowiecka Nr. 10.

Młodej Polce. Tak jest; powieściopisarz.

Tadziowi W. Za nadesłane zdania dziękujemy, po
sprawdzeniu z angielskim oryginałem będą użytkowane
w piśmie.

Kujawiakowi z nad Warty. Konkurs pomysłowo-
ści prawdopodobnie ogłoszony będzie w drugim półroczu,
choć nie stanowczego Redakcja jeszcze nie postanowiła.
Przy sposobności mała uwaga: konkurs pisze się przez *on*.

Odpowiedzi działu zadaniowego.

Spóźnione rozwiązania zadania arytmetycznego do nagro-
dy z Nr. 16 nadesłali jeszcze Mieczysław Popiel, Orzeł Czuba-
ty, Ostróżka Polna i Sarmata.

Trafne rozwiązania zadań i łamigłówek z ostatnich nu-
merów przysłali następujący czytelnicy: Kujawiak z nad War-
ty, Niezabudka, Laszka Budrysowa, Trzecioklasista, Jasio W.,
Włodzimierz Kalinowski, Czesio z Piotrkowa i Przyłaszczka
Puszczańska.

Zadania, rebusy i łamigłówki nadesłane przez J. Jan-
kowskiego, Z. Szyszkównę, J. W. z Kłebówki, Tadzia W. i Wio-
senkę przyjęte zostały do druku.

Wujenkom A. S. i Z. S. Zagadki wasze zbyt słabo
opracowane i nie odznaczają się nowością tematów. Nie
będą więc drukowane.

Wikłowi P. W zagadkach swoich silisz się na wier-
sze i składasz takie np. rymy, jak *czarny — szkaradny*. Daj
pokój wierszom, a opracuj lepiej łamigłówkę dla „Wieczorów”
zwykłą prozą.

Włodzimierzowi K. z Łęcznicy. Wpływ na po-
spěch w druku zadania ma przede wszystkim jakość łami-
główek; nie można albowiem dawać ciągle same logogryfy
i arytmogryfy, dlatego też im jest zadanie lepiej opracowane
i nowszym odznacza się pomysłem, tem prędzej bywa druko-
wane.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE: rocznie z odnoszeniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5 — stosownie do tej ceny półroczna
i kwartalna — miesięcznie w Warszawie kop. 35.

Cena ogłoszeń: za wiersz petitowy jednoszpaltowy lub jego miejsce — 12 kop.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

TREŚĆ: Od Redakcyi. — Kościół Kamedułów na Bielanych (z ryc.) — Pod mikroskopem. — Psie pole, powieść Włodzimierza
Trampezyńskiego. — W czasie bitwy morskiej pod portem Artura (ryc.) — Srebrne łyżwy, przekład A. M. — Sonet, przez
A. Halperna. — Ze świata. — Łamigłówki i rozwiązania. — Odpowiedzi redakcyi. — **Dodatek:** Dary, przekł. M. G. —
Ptaszek, wiersz przez Helenę Bojarską. — Majówka bez Mani, przez H. S. — Żarciki. — Łamigłówki i rozwiązania. —
Skrzynka do listów.

Bezpłatny dodatek książkowy: Obowiązek, powieść dla młodzieży przez Julię Piasecką.

Redaktorka **Ludwika Hauke.**

Доводено Цензурою. Варшава 3 Мая 1904 г.

Wydawczyni **Marya z Chomętowskich Hauke.**

W drukarni Noskowskiego, Warecka 15.

Wymiana kart pocztowych.

(Za pozwoleniem rodziców lub opiekunów.)

Halka Radzikowska (Kielce, ul. Sułkowska Nr. 6)
chce korespondować z Prządką złotych nici.

Władzia Izopolska (st. Nosowka, Czernihowska gub.
Nosowsko-Kozarska cukrownia) pragnie zamieniać pocztówki
z Perłową Muszelką i S. Radziszewską.

Marylka Gradsteinówna (Częstochowa, ul. Teatral-
na Nr. 24) życzy sobie zamieniać pocztówki z Choinką, Sza-
rotką z Tatr, Miri, Żabką z nad Rosi i Halką z nad Teterowa.

E. Bok (Warszawa, ul. Rymarska Nr. 10, m. 2.) pragnie
zamieniać karty pocztowe z Dudkiem.

Janina Burkathówna prosi Czesławę Heil. o szczegó-
łowy adres, którego nie podała na swej karcie.

Marya Ratomska. (Łuszczów, gub. Lubelska, st. pocz.
Raciborowice) pragnie korespondować z Prządką złotych nici.

Janka Wołoszynowska (Tekłówka, gub. Kijowska,
st. p. Dubowa) życzy sobie zamieniać karty ze Łzą polskiego
boru i Leśną Sarenką.

Irena Podolska (st. Otwock, gub. Warszawska) chcia-
łaby korespondować z Muszką z Krakowa, Janiną Podolską
i Dobrusią.

Jadwiga Wolberżanka (Warszawa, Twarda Nr. 10.
mieszk. 4.) pragnęłaby zamieniać karty z Szarą Kotką, Sza-
rotką z Tatr, Złotą Gwiazdką, Wiochną, Miri, Wajdelotką, Tę-
sknotą i Kochającym Serduszkciem.

Adres ten podajemy powtórnie, gdyż wskutek używania
jednego i tego samego pseudonimu przez dwie czytelniczki
„Wieczorów” w Nr. 19 mylnie wydrukowane było nazwisko.

OGŁOSZENIA.

MARYAWITA.

DWUTYGODNIK ILLUSTROWANY

poświęcony czci N. Sakramentu i Niepokalanie Poczętej Dziewicy.

Z dodatkiem **bezpłatnym**, składającym książkę treści
religijnej.

Wychodzi dnia 1 i 15 każdego miesiąca w Kielcach (ulica
Kapitulna, dom W. Krzanowskiej) pod redakcją *Księdza*
Wincentego Bogackiego, Magistra Teologii, Profesora Semina-
ryum Duchownego w Kielcach.

Prenumerata: w *Kielcach, Łodzi, Warszawie i Zagłębiu*
Dąbrowskiem rocznie rb. 4, półrocznie rb. 2, kwartalnie 1 rb.
Na *provincyi i za granicą* z przesyłką pocztową rocznie rb. 5,
półrocznie rb. 2 kop. 50, kwartalnie rb. 1 kop. 50. — Poje-
dyńczy zeszyt 25 kop.

Całoroczni prenumeratorowie otrzymają w końcu roku
premium: Obraz Niepokalanie Poczętej Dziewicy (pa-
miątka jubileuszu 1904 r.) za dopłatą 40 kop.

W maju r. b., jako dodatek, za małą dopłatą, zacznie wy-
chodzić przy „Maryawicie” w zeszytach poprawne dzieło Ma-
ryologiczne, p. t. **Czem jest Marya?** zebrane przez *O. Ho-*
norata, Kapucyna, obejmujące kilkanaście dużych tomów, któ-
re podzielone w artykułach na 365 dni, ukaże się w całości
w ciągu lat pięciu.

D A R Y .

przełożyła z angielskiego
N. G.

(Dalszy ciąg).

Odstępuję innym moje prawa do niego — dodał drugi.

— Co prawda, mam dosyć swoich własnych — odezwała się Estera.

— Śliczny i miły chłopiec! — zrobiła uwagę Amelia.

Ona jedna tylko patrzyła życzliwie na płaczące Jagnię. Zillak przemówiła nagle:

— Nie wiem, co mi się stało, żem go chciała wziąć. Wcale mi nie potrzebny.

— Więc możemy go z sobą zabrać? — spytała Antea.

— Pewnie, że możecie — odpowiedział serdecznie Faraon. — Nie mamy nic przeciw temu.

I wszyscy zajęli się gorliwie porządkowaniem na noc namiotów. Wszyscy — z wyjątkiem Amelii. Poszła ona z dziećmi aż do szosy i przy pożegnaniu powiedziała:

— Pozwólcie mi ucałować małego. Sama nie wiem, dla czego byliśmy tacy głupi... My cyganie nie kradniemy dzieci, choć ludzie tak mówią, żeby was straszyć, jak jesteście niegrzeczni. Mamy swoich aż nadto. Ale mnie wszystkie poumierają...

Pochyliła się nad Jagnięciem, które spojrzawszy na nią, wyciągnęło najniespodziewaniej tłuścą, miękką łapkę i pogłaskało ją po twarzy.



Cyganka zrobiła na jego czole jakieś znaki.

— *Biedna! Biedna!* — przemówiło załośnie.

I pozwoliło cygance ucałować się, i co więcej ucałowało jej brunatne policzki bardzo serdecznie, jak zwykle dzieci, ale nie pośliniło jej, co się często dzieciom zdarza.

Cyganka zrobiła na jego czole jakieś znaki palcem, jakby coś pisała, i takie same na piersiach i na nóżkach. Potem powiedziała:

— Niech będzie odważny, i niech ma mądrość w głowie, dobroć w sercu i silne ręce do pracy i wytrwałe nogi do podróży i niech zawsze powraca zdrowo do domu!

Zaczęła coś szeptać w niezrozumiałym języku, którego dzieci nie znały i dodała nagle:

— A teraz trzeba się pożegnać... Bywajcie zdrowi! Odwróciła się i odeszła śpiesznie do domu, a raczej do namiotu na łące przy drodze.

Dzieci patrzyły za nią, dopóki nie weszła do namiotu. Wtedy Robert się odezwał:

— Jaka głupia! Nawet zachód słońca nie przyprowadził jej do rozumu... I co ona gadała?

— No! — powiedział Cyryl — ja uważam, że zachowała się bardzo przyzwoicie.

— Przyzwoicie? — powtórzyła Antea. — To było bardzo poczciwie z jej strony! Bardzo ją lubię za to.

— Znać, że jest strasznie dobra! — dodała Kizia. I poszli do domu, bardzo spóźnieni na herbatę, nie mówiąc już o obiedzie. Marta naturalnie złażała ich. Ale Jagnię było uratowane.

— Więc i my także pragnęliśmy mieć Jagnię, tak samo jak i wszyscy — powiedział po herbacie Robert.

— Naturalnie, że tak samo.

— Ale czy czuje kto w sobie jaką zmianę po zachodzie słońca?

— Nie! — odpowiedzieli wszyscy chórem.

— Więc u nas to pragnienie pozostało i po zachodzie?

— Przecie to zupełnie co innego! Życzenie nie odnosiło się do nas. Myśmy zawsze pragnęli mieć Jagnię, gdy jesteśmy sobą, tylko tego rana byliśmy jacyś inni, źli, a szczególnie Robert.

Robert przyjął zarzut dziwnie spokojnie.

— Bo mnie się zdawało dziś rano, że wcale o nie nie dbam — powiedział szczerze. — Może być, że byłem zły. Ale wszystko się zmieniło, kiedy mieliśmy je stracić...

I w tem, moi drodzy czytelnicy, jest cały morał tej powieści. Pomyślcie o tem, gdy was opanuje

jakie złe uczucie, i kiedy będziecie zagniewani na braci i siostrzyczki. Mam nadzieję, że nie zdarza się to często, ale przypuszczam, że zdarza się niekiedy każdemu z was!

Koniec rozdziału III-go.

Ptaszek.

Siedzi ptaszek, siedzi,
Na gałązce drzewa.
I Bogu i ludziom
Na uciechę śpiewa.
Dziękuje za słońce,
Za ciepło, za wiosnę,
I nawet przy pracy
Śle pienia radosne.
Śpiewa ptaszek, śpiewa,
Od samego rana,
O! dzięki ci za to,
Ptaszyno kochana!
Twa piosnka świat cieszy,
Raduje tu ludzi,
Do uczuć szlachetnych
Ich serca też budzi.
Człek częściej do Boga
Myślą się podnosi,
Za dobre dziękuje,
Cierpliwiej złe znosi.
O! śpiewaj nam, śpiewaj,
Serdeczna ptaszyno,
Przy twojej piosence
Weselej dni płyną.

Helena Bojarska.

Majówka bez Mani.

Moje córeczki, jutro wstaniecie wcześniej... bo... Ale zanim mama zdążyła dokończyć zdania, niegrzeczna Mania odpowiada ze skwaszoną miną:

— E, mamusiu, po co wcześniej... ja nie chcę...

Te skwaszone miny, kaprysy, to niegrzeczne „ja nie chcę” często, niestety, zbyt często zdarzało się. Może niedobrze, że to powtarzam, bo bliźnich obmawiać nie trzeba, ale ponieważ nie wymieniam nazwiska, nikt wiedzieć nie będzie, o kim mowa. Gdyby jednak przypadkiem kto z czytelników domyślił się z opisu tego prawdziwego zdarzenia, o kim myśle, gdyby przypadkiem poznał w tej niegrzecznej Mani dobrą znajomą, to proszę, niech ten domysł jako tajemnicę zachowa dla siebie. Zresztą Mania już podobno dzisiaj poprawiła się — ale o tem później. Tymczasem powróćmy do naszego opowiadania.

Otóż owa Mania na wszystko miała najpierw odpowiedź „nie”. Bywało mama powie: „Maniu, włóż dzisiaj tę popielatą sukienkę, bo deszcz pada”. Dziewczynka od razu odpowiada: — E, mamusiu, nie, wolę niebieską” — Raz Mania nie była bardzo zdrowa, a jako leguminę podano bezy ze śmietaną, które bardzo lubiła.

— Nie jedz, córeczko, bo ci zaszkodzą, dam za to kompotu z biszkoitem.

Tu już Mania w płacz i z brzydką, skrzywioną buzią piszczy: — Kiedy ja tak lubię bezy, tak się na nie cieszyłam. — Naturalnie mama za karę nie dała ani bezów, ani kompotu, bo ktoby dogadzał kłopoty prysom dzieci, jednak dziewczynka nie poprawiła się i wciąż martwiła mamę swoim niegrzecznym — nie — i, aż wstyd powiedzieć... częstemi płaczami.

Mama taila te wady Mani przed tatusiem, bo tatusz prawie dzień cały pracował poza domem, starając się, aby rodzina jego miała na dobre mieszkanie przyzwoite suknie, jedzenie, naukę, a nawet na przyjemności. Więc gdy tatuś przyszedł z biura na kilka godzin do domu, mama nie chciała mu sprawić przykrości i nigdy nie poskarżyła na niegrzeczną Manię, tylko martwiła się w głębi serca i nieraz ze strachem myślała, jaka to kobieta wyrośnie z takiej kapryśnej dziewczynki. Ani Pan Bóg, ani ludzie nie będą z nią mieli pociechy.

Nie pomogło napominanie, łajanie, biedna mama raz po raz musiała uciekać się do ostateczności i ukarać Manię, chociaż ją zawsze przytem serce bolało.

To też gdy teraz na rozkaz — wstaniecie jutro wcześniej! — usłyszała zwykłe — nie! — nie wyjaśniając nic dziewczynkom, odpowiedziała tylko spokojnie:

— Nie zmuszam cię, moje dziecko, obudzę zatem tylko Irenkę. (Zapomniałam wam powiedzieć, że starszej o rok siostrzyczce Mani na imię było Irenka.)

Mania w tejże samej chwili już żałowała swej niegrzeczności, ale czy myślicie, że zaraz przeprosiła mamę? Byłaby ją tą skrucą rozbroiła, ale jej nie-mądrej główce zdawało się zawsze, że to wstyd przyznawać się do winy.

Na drugi dzień mama obudziła tylko Irenkę i ka-zała jej śpiesznie się ubrać, robiąc przytem tajemniczą minkę. Irenka знаła tę minkę, domyśliła się zaraz, że dobra, kochana mamusia obmyśliła jakąś miłą niespodziankę. Więc przeżegnawszy się, szybko wyskoczyła z łóżeczka, umyła się w zimnej wodzie, tak, że w jednej chwili przeszła ochota do snu i w dwadzieścia minut już była gotowa.

W jadalnym pokoju syczał samowar, mama piła herbatę, na Irenki zwykłym miejscu stała szklanka mleka i bułeczka z zółtem, majowem masłem; prócz tego leżały dwie paczki owinięte w papier i sznurkiem starannie obwiązane — wyraźnie jakieś zapasy na drogę.

— Oj, mamusiu, to pewno będzie jakaś majówka! Prawda, no, prawda! — no, niech mamusia powie, moja złota, jedyna!

Ale mama uśmiechnęła się znów tylko, mówiąc:

— Zobaczysz, zobaczysz, a tymczasem zjedz pręd-ko śniadanie, bo najpierw wstąpimy do kościoła, choćby tylko na chwilę.

Kościół św. Krzyża był niedaleko. Mama z córką niebawem znalazły się pod wspaniałem sklepieniem tej świątyni i poszły przed ołtarz Najświętszego

Sakramentu, gdzie w maju odprawia się rano nabożeństwo na cześć Matki Boskiej. Od ołtarza biła woń kwiatów i łuna gorejących świec. Jakiś ksiądz starsuszek, pochylony, z głową białą jak gołąbek, odprawiał właśnie Mszę św. Matka z córką ukłękły, a z ich serc szła gorąca, szczerza modlitwa do tego dobrotliwego Ojca, który jest w niebiesiech. Irenka prosiła o zdrowie dla rodziców, dziadzi, babuni, siostrzyczki, dla siebie, o błogosławieństwo dla wszystkich ukochanych, dla przyjaciół i nieprzyjaciół, dla całego kraju i nie zapomniała też o duszach zmarłych, które z tamtego świata oczekują naszej pomocy w modlitwie.

I ona miała też już taką bliską, drogą duszyczkę na tamtym świecie. Przed dwoma laty umarł jej mały, jedyny, ukochany, braciszek Kazio. Boże, Boże, jak sobie przypomni, co to za rozpacz była w domu. Pozostała im tylko pamięć tych kilku lat spędzonych razem, pamięć wspólnej zabawy i na dalekich Powązkach ta mała, zielona mogiłka, którą mama często wianeczkiem zdobi, płacząc serdecznie za dzieckiem drogiem, którego już nigdy, nigdy nie zobaczy na ziemi, ale też nigdy nie zapomni.

Irenka nie pamięta, aby kiedykolwiek tak gorąco modliła się, jak w ten wiosenny poranek.

Podniesiona na duchu wyszła mama z córką z kościoła, wsiadły do dwukonnej dorożki, na „gumach”, jak zaraz zauważyła Irenka — i pojechały do Łazienek. Tam zastały już kilka znajomych rodzin z dziećmi, między innymi wujostwa Stasiów z Halą, przyjaciółką Irenki. Widocznie naprzód umówiona majówka!

W parku było prześlicznie. Świeżutka zieloność liści pokrywała drzewa, silna woń czeremchy napępniała powietrze, a z zarośli rozlegał się szczebiot ptaków, zrazu cichy, nieśmiały, potem coraz potężniejszy, głośniejszy, pewniejszy. Zaraz zaczęły się rozmaite gry, a w niektórych nawet mamy i ciocie brały udział. Potem całe towarzystwo wsiadło do łódki, jeżdżono po stawie, a dzieci dawały jeść łabędom.

Wujek Staś, który bardzo lubił Irenkę, nauczył ją sterować, a nawet trochę wiosłować, chociaż z dwoma wiosłami naraz nie umiała sobie radzić: ciągle jej się plątały, czasami też zbyt energicznie wiosłem uderzyła i opryskała kogo wodą, ale wszyscy wybaczały, bo wiedzieli, że nie było w tem ani złej woli, ani też nieuwagi, tylko nieumiejętność.

Jedna mama nie pojechała łódką, twierdząc, że ma inne zajęcie i poleciła całemu towarzystwu przyjść potem przed starą pomarańczarnią.

Gdy się już wszyscy zebrali, otwarto paczki z różnymi dobrami rzeczami, przyniesionymi przez uczestników majówki. Były ciastka, cukierki, bakalie — ktoby tam zresztą wyliczył wszystkie te przysmaki!

Po przekąsce, dostało każde dziecko na pamiątkę śliczny breloczek: czterolistną koniczynę, z wyrytą na listkach datą przyjemnego dnia.

Tymczasem słońce coraz wyżej posuwało się na niebie — i trzeba było myśleć o powrocie. Żegnano

się więc z żalem i wesołe towarzystwo rozjechało się na wszystkie strony.

Rozbawiona Irenka opowiadała siostrzyczce szczegóły prześlicznej wycieczki a Mania aż łykała, słuchając, tak przykro jej było, że przez własny kaprys pozbawiła się przyjemności. Ale nie mówiła nic, i dopiero gdy wieczór nadszedł, a mama jak zwykle ukłękła z dziewczynkami do modlitwy i krótkiego rachunku sumienia, już dłużej nie mogła powstrzymać się od wybuchu żalu. Rzuciła się mamie na szyję, całowała jej ręce, mówiąc wśród łkania:

— Mamusiu złota, nie gniewaj się na mnie, ja sama widzę, jak zawiniłam, jak przez kaprys i mamie zrobiłam przykrość i siebie ukarałam. To też przyrzekłam Panu Bogu, że ze wszystkich sił starać się będę o poprawę. Tylko proszę, niech mi w tem mamusia dopomoże i gdybym znów kiedy grymasić zaczęła, niech mi mama dzień dzisiejszy przypomni.

Mama ucałowała Manię i uspokoiła ją, zapewniając, że gdy tylko kto szczerze zechce popracować nad sobą, temu na pewno uda się pozbyć wad, choć by najgorszych.

Od tej pory nic już nie słychać o kaprysach Mani, więc pewno dotrzymała słowa.

H. S.



— Jadziu, podobno nie umiałaś napisać wypracowania w klasie?

— Umiałam mamusiu doskonale, słowo w słowo przepisałam od mojej koleżanki.

Pani do nowej nianki, która szuka zajęcia: — A dla czego wydalono cię z dawnego miejsca?

Nianka. — Bo często zapominałam umyć dzieci, proszę pani.

Chór dzieci, przysłuchujących się rozmowie: — Moja mamo, niech ją mama zgodzi!

Uczeń w nocy do kolegi: — Janek, pst! tam chyba rabuś chodzi po przedpokoju.

Kolega. — Niech sobie rabuje! przecież tam nie ma, tylko parasol, który nam wczoraj pożyczył pan Agapić.

ZAGADKA REBUSOWA.

podał Witold Z.

Pod literą litera —
W to się siostra ubiera;
Pół tej samej litery —
Na to kładę papiery.
Taż litera w literze —
Ptak, co czarne ma pierze.
Jaka też się litera
W tej zagadce zawiera?

K
K Kapośka
*o*śka
*k*auka
k

S Z A R A D A .

Ułożyła E. L.

Pierwsze z trzecem przeróżnych kształtów i rozmiarów
Służą do przewożenia w podróży towarów.
Drugie wspaniałą różną postać i różny cel miewa,
Bo czasami tonami głośniejszymi rozbrzmiewa,
To znów trzyma się kopyt osiełków i koni
I wiele innych zwierząt ozdabia i broni.
Wszystko wraz mile oko pociąga ku sobie,
Gdyż wielu krajobrazom służy ku ozdobie.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 17-go

Zadania na dobieranie końcówek:

Pełno nas, pełno na Bożym świecie!
Jest się z kim szczęściem podzielić przecie:
Ile każdemu potrzeba,
Znajdzie się źródło, cienia i chleba;
Jednego ojca jedne my dzieci,
Od muszki aż do człowieka,
I równo słońce dla wszystkich świeci
I równa nam opieka.

Kornel Ujejski.

Łamigłówki na rozsypane litery:

Kruk krukowi oka nie wykole.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 18-go.

Szarady: Stopień.

Zagadki literowe: Warszawa.

Skrzynka do listów.

Już skowronek i jaskółka witają nas wiosną.
Rzućmy ziarno w żyzną ziemię, a kłosy wyrosną.

Ja także chciałabym w serca wasze rzucać ziarno dobrych rad, bo żyzne one i plącą przywiązaniem za pracę. Oto **Wiosenka Łowicka** i **Niebieska Perełko** uśmiecha się do mnie żółty bratek, wyhodowany w waszym ogródku, a w liście jest siedm rubli dobrowolnych ofiar zebranych od koleżanek III klasy jako dar dla Kolonii Letnich. „Może chociaż jedna dziecinka więcej pojedzie na wieś za te pieniądze” piszą Wiosenka i Perełka, a ja je obie i ich koleżanki tulę do serca, bo pomogły ubogiemu maleństwu zaczerpnąć sił na wsi.

Spełnię twoją prośbę, **Lirniku z nad Rzury**, ale wtedy dopiero, kiedy dotrzymasz słowa i wytrwasz w dobrych postanowieniach. Czy słyszałeś, Lirniku, o sławnym wodzu rzymskim, Regulusie, który wiedział, że będzie umęczony przez Kartagińczyków, a jednak spełnił obietnicę i wrócił do Afryki po dobrowolną śmierć. Tak to dzielni ludzie szanują dane słowo, zapisałam twój adres, gdyż ja także chcę dotrzymać przyrzeczenia, jak tylko mi doniesiesz, że zasłużyłeś na nagrodę.

Leśnemu Storczykowi dziękuję za ciekawe szczegóły o sobie i rodzinie. Bardzo mnie zajął brat encyklopedy, z bratem zoologiem nie chciałabym mieć do czynienia, gotów robić takie doświadczenia z jaskółką, jak z rybami, kłaniam uniżenie panu naturalisście, ale wolę być ostrożną. Za to powzięłam zupełne zaufanie do ciebie, Storczyku, bo twoje zamiary na przyszłość bardzo mi się podobają.

Smutnemi wiadomościami odpowiadam na twój list, **Pedziwierzcie**. Pytasz o Stanleya, a tu właśnie gazety rozniosły wieść o śmierci sławnego podróżnika, który, śmiało można powiedzieć, odkrył Afrykę, to znaczy, dał ją nam poznać przez zbadanie okolic nieprzystępnych dotąd dla Europejczyków. Powiedz twojej siostrze, że słusznie opłakuje zgon ś. p. Izabelli Ryxowej, bo straciliśmy z nią dzielną pracowniczkę na polu gospodarstwa kobiecego. Pani Ryxowa, jak każdy samouk, własnym doświadczeniem zdobyła wiadomości potrzebne dla prowadzenia wzorowego gospodarstwa, ona to założyła pierwszą hodowlę trzody i drobiu rasowego, a na wystawach otrzymywała zasłużone nagrody za chlewnię i kurniki, w których niejedna z was podziwiać musiała olbrzymie gęsi i kaczki, różnobarwne kurki, złote bażanty. Oby przykład pani Ryxowej znalazł jaknajwięcej godnych naśladowniczek pomiędzy moimi korespondentkami, oby umiały one kochać gorąco pracę i społeczeństwo, jak kochała je ś. p. zmarła.

Tak, tak, **Prymulo**, czas szybko ucieka, egzamina już się zaczęły, a Jaskółka ze strachem myśli o piskletach, chociaż ufa im, że nie zrobią jej wstydu. Nie zróbcie, niech nasze kochane „Wieczory” szczeni się mają prawo swymi prenumeratami. Przyslij adres, Prymulo, a redakcyja spełni twoje żądanie.

Modrooka Sarenka troszczy się o egzamina, ja także troskać się o ciebie będę i często myślą utulę spracowaną piątoklasistkę. Czy poczujesz muśnięcie moich skrzydeł, które zaniosą tobie pieczętowaną siostry, a szanownej twej babci wyrazy wdzięczności za pamięć. Zagadki francuskiej „Wieczory” nie wydrukują.

Pajęczynkę zapisuję chętnie do naszego grona i proszę, aby mi doniosła, czy **Iris** dostała patent, czy kochany wasz ojczulek już swobodnie chodzić może. A **Konik polny** jakiego ma teraz ulubieńca? Czekam niecierpliwie odpowiedzi.

Alboż mogłam się domyśleć, że nagrodzony nagrodą pierwszego stopnia R. C. to mój korespondent, **Wielki Łobuz**! Prawda, moi państwo? Któżby po Łobuzie spodziewał się starannej kaligrafii. Mówiąc między nami, Łobuz pisze bardzo ładnie, tem więcej też żałuję jego siostrzyczki, **Małpeczki**, że dla bólu oczów nie brała udziału w konkursie, ale „Wieczory” jeszcze dwa ogłoszą tego roku, pociesz się, Małpeczko, Bóg wróci ci zdrowie i zdobędziesz nagrodę za roboty lub wypracowanie.

Czemuż nie mogę uwić gniazda pod twojem oknem, **Blotniarko Stawowa**, dopomagałabym ci w pracy nad poprawą charakteru. Najstarsza siostra ma obowiązek dawania dobrego przykładu młodszemu rodzeństwu. Pomyśl, ich dusze od ciebie zależą, możesz je zrobić gorszymi lub podnieść za sobą ku szlachetnym celom. Bóg dał ci rodzeństwo, strzeż wiernie Bożego daru. Ile razy jaskółki zaświegocą w waszym ganku, pomyśl, Blotniarko, że masz w Warszawie siostrę tego imienia, która gorąco pragnie, abyś wytrwała w chęci doskonalenia się. Pochwalam zamiar tłumaczenia powiastki dla wprawy, bo zdarzają się jeszcze błędy w twoich listach i tak: *rzeczy*, należy pisać przez *rz*, a *kontynuować* nie pisać wcale, gdyż niema tego wyrazu w naszym języku. Redakcyja posłała ci nagrodę. Kochające Serduszko ucieszy się pewnie wiadomością, że masz dla niej współczucie, i że się za nią modlisz.

I tobie, **Polko**, życzę powodzenia w dobrych zamiarach, daj Boże, byś jaknajwięcej dusz podnieść i uszlachetnić mogła. Redakcyja sprostuje mimowolną pomyłkę, co zaś do dzieł Rzymskich, to radzę ci poznawać je nie z powieści, lecz z historycznych dzieł. Grube lub Welter opisują je barwnie, i zajmująco, a nigdy bohater powieści nie wyrwie na nas tego wrażenia, co przykłady życia ludzi wielkich charakterem lub geniuszem.

Wszystkim śle pozdrowienia wasza Jaskółka.